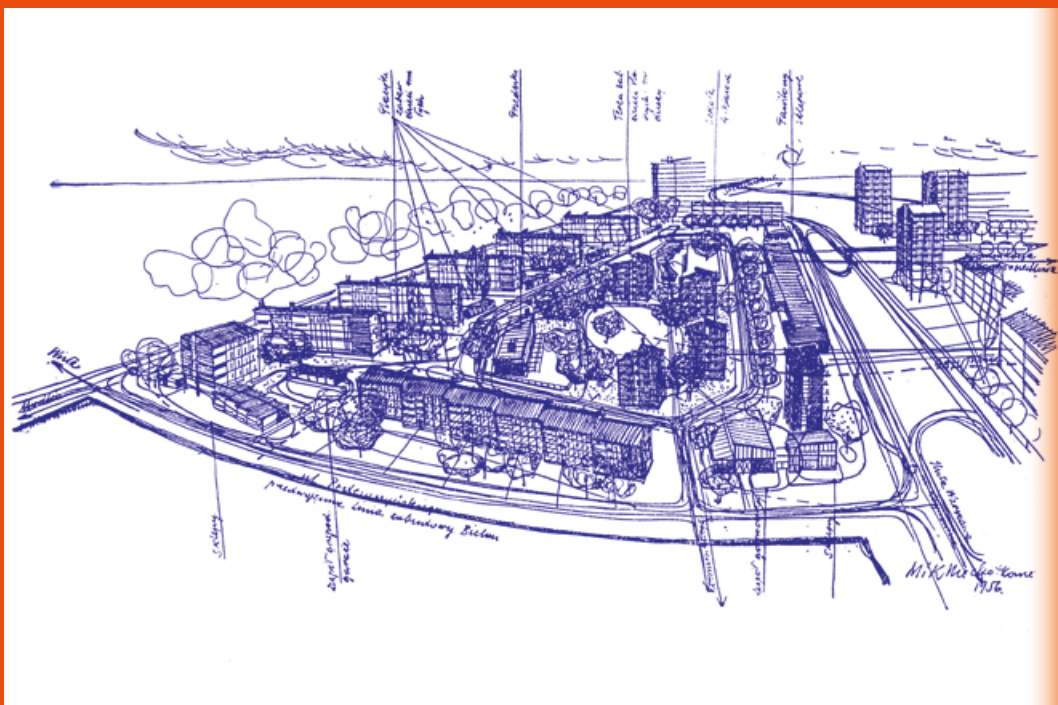


Maria Piechotkowa

MIASTOPROJEKT

– BIELANY



Widok perspektywiczny fragmentu osiedla Bielany II, między ulicami Marymoncką i Kasprowicza, od strony ulicy Podczaszyńskiego. „Architektura” 1958, nr 7/129

VII.

MIASTOPROJEKT

STOLICA-PÓŁNOC

Na początku 1950 roku budynek przy Królewskiej został ukończony i musieliśmy się do niego przenieść. Na szczęście udało nam się zorganizować opiekę nad malutkim Michałem, tak że ja również mogłam zostać, już formalnie, pracownikiem Miastoprojektu Stolica-Północ. Od tego czasu bez przerwy, przez następne trzydzieści lat, pracowaliśmy wspólnie, siedząc naprzeciw siebie w tym samym pokoju, jako oficjalnie uznana spółka autorska „M. i K. Piechotkowie”.

Zespół, jaki wtedy powstał w Miastoprojekcie pod naszym kierownictwem, składał się z kilkunastu osób, w tym kilku architektów, konstruktorów i pomocników technicznych. Stanowił samodzielną jednostkę organizacyjną, formalnie przyłączoną do pracowni architekta starszego pokolenia Hipolita Rutkowskiego, ale pod względem merytorycznym całkowicie niezależną. Początkowo zaprojektowaliśmy cztery kamienice na Mokotowie, ale przede wszystkim kontynuowaliśmy prace przyniesione z ZAP, rozpoczęte jeszcze na Koszykowej. Naszym głównym zleceniodawcą było nadal Ministerstwo Kultury i Sztuki.



Na czele biura Miastoprojektu stali dyrektor i naczelny inżynier, mianowani przez Komitet Warszawski PZPR po uprzednim zatwierdzeniu przez władze centralne partii. Praktycznie rządziła lokalna komórka podstawowej organizacji partyjnej (POP), stojąc na straży prawomyślności pracowników. Przed ewentualną dywersją, sabotażem czy inną formą wrogiej działalności zewnętrznej lub wewnątrz biura strzegł nas posterunek UB (Urząd Bezpieczeństwa), który miał swój oddzielny pokój. Obowiązywała „socjalistyczna dyscyplina pracy”. Pilnowali jej stojący przy wejściu w holu pod zegarem uzbrojeni strażnicy. Pracownikowi, nawet wysokiej rangi, który by się spóźnił, groziło odebranie legitymacji służbowej i surowe sankcje. A zdarzyć się to mogło łatwo, gdyż dla wszystkich znajdujących się w Warszawie biur projektowych początek pracy wyznaczono na szóstą rano. Jak to określił prof. Gutt: „na dojenie

krów za późno, na myślenie za wcześniej”. Żeby zdążyć przed szóstą, trzeba było wstać odpowiednio wcześniej. W naszym przypadku było to najpóźniej w pół do piątej, gdyż w ówczesnych warunkach komunikacyjnych dojazd z Pragi do biura na Królewską zajmował co najmniej godzinę. Sytuacja większości pozostałych pracowników była podobna. Panowie zaczynali zatem pracę od golenia się, panie czesały się i wykonywały makijaż, potem wszyscy parzyli herbatę i jedli przyniesione z domu kanapki. Komentowano bieżące wydarzenia, wymieniano poglądy. Gdzieś między ósmą a dziewiątą zaczynała się praca. Teoretycznie mogliśmy wyjść po ośmiu godzinach, a więc o 14.00, ale obowiązywały nas często bardzo napięte terminy umowne, poza tym pracowaliśmy na akord, od wykonania planu uzależnione były zarobki nasze i całej pracowni. W praktyce siedzieliśmy w biurze znacznie dłużej, często do późnego popołudnia. A po powrocie do domu i zjedzeniu obiadu, wczesnym wieczorem wszyscy padali ze zmęczenia i niewyspania. Nie było czasu ani siły na zabawę z dziećmi, czytanie książek, chodzenie do teatru, kina czy spotkania z przyjaciółmi.

Ci sami strażnicy, którzy kontrolowali nas rano, sprawdzali potem, przed naszym wyjściem – a my z naszej pracowni musieliśmy wyjść ostatni – czy wszystkie rysownice zostały przykryte płóciennymi płachtami, żeby szpieg nie mógł podejrzeć przypiętych do deski rysunków; czy szafy zawierające teczki z dokumentacją (te same, w których trzymaliśmy także przybory kreślarskie, kalki, herbatę i cukier) zostały zaklejone paskiem papieru i opieczetowane. Dopiero wówczas mogliśmy wyjść w obecności strażników, którzy jeszcze plombowali drzwi pracowni. Stemplami były kapsle od piwa, wypełnione plasteliną, w której odciskano orzełka z 20-groszówki. Ta sama obsesja wszechobecności wroga powodowała deformację planów miast, przez m.in. zniekształcanie przebiegu ulic, pozostawianie białych plam w miejscach, których topografię chciano utajnić, na przykład terenów wojskowych lub kolejowych, przez co lokalizacja i zasięg tych terenów były natychmiast rozpoznawalne. Dopiero w drugiej połowie lat 50. strażnicy znikli z oczu. Plombowanie pokoi zastąpiono specjalnie na ten cel wydzieloną kancelarią, służącą do przechowywania korespondencji i dokumentacji opatrzonej klauzulą „tajne” lub „poufne”, którą też po pewnym czasie zlikwidowano jako niepotrzebną. Porę rozpoczynania pracy przesunięto na godzinę ósmą.



Pracownia Miastoprojektu, Warszawa, 1953. Siedzą od lewej: arch. Ryszard Adamkiewicz, arch. Halina Grabowska, N.N., arch. Kazimierz Maciej Piechotka. Stoją od lewej: arch. Tadeusz Nasfeter, arch. Andrzej Pinno, Piotr Rutka, arch. Mieczysław Oleksy, Emil Kozłowski, arch. Maria Piechotkova, Zbigniew Piłacik, arch. Mieczysław Jeżewski

ŚWIATOWY KONGRES OBROŃCÓW POKOJU

Pewnego dnia jesienią 1950 roku dyrektor Miastoprojektu wezwał nas na pilną rozmowę. Odbyła się bez świadków. Poinformował w tonie niepodlegającym dyskusji, że od następnego dnia mamy się nie pokazywać na Królewskiej. Przez jakiś czas każdego ranka będzie przyjeżdżał po nas do domu samochód. Dokąd będzie nas zawoził i w jakim celu, tego on powiedzieć nie może – dowiemy się na miejscu. Ten sam kierowca będzie nas odwoził z powrotem do domu. Zaraz też przyjedzie ktoś, żeby nam zainstalować telefon – przywilej, na który czekało się wówczas kilka, jeżeli nie kilkanaście lat. Wszystko ma być absolutnie tajne.

I rzeczywiście, codziennie rano czekał przed naszym domem samochód. Kierowca bez słowa zawoził nas do będącej jeszcze wówczas w budowie – „stan surowy” był zaledwie na ukończeniu – wielkiej drukarni, Domu Słowa Polskiego. Tam zastaliśmy podobnie jak my zaskoczonych kolegów, zarówno starszych, wybitnych architektów: Jerzego Hryniewieckiego, Jana Bogusławskiego, Jerzego Staniszkisa, jak i naszych rówieśników: Tadeusza Zielińskiego, Jerzego Baumillera, Bohdana Gniewiewskiego, Kazimierza „Kicia” Muszyńskiego i być może jeszcze paru innych, których już nie pamiętamy. Powitali nas pracownik KC PZPR „towarzysz” Wacław Barszczewski i komisarz ds. wystaw i targów Janina Królikowska. Zostaliśmy poinformowani, że naszym zadaniem jest zaprojektowanie aranżacji wnętrza Domu Słowa Polskiego, który miał jedynie gołe betonowe ściany i konstrukcję stropu, bez tynków i podłóg, w taki sposób, żeby za dwa tygodnie mógł się w nim odbyć Światowy Kongres Młodzieży, w tym samym czasie co II Światowy Kongres Obrońców Pokoju, który planowano zorganizować w Anglii, w Sheffield. Sprawa ma być traktowana jako ściśle tajne zadanie wagi państwowej. Później wyszło na jaw, że z Kongresem Młodzieży to był tylko zabieg taktyczny. W rzeczywistości przewidywano, że delegaci z krajów komunistycznych nie dostaną wiz do Wielkiej Brytanii, i od razu, w tajemnicy, przygotowywano się na przeniesienie Kongresu Obrońców Pokoju do Warszawy. Spodziewano się przybycia delegacji kilkudziesięciu państw z całego świata z ich

przywódcami na czele oraz licznych osobistości najwyższej rangi ze świata nauki i kultury, takich jak Frédéric Joliot-Curie, Pablo Neruda i wielu innych.

Na razie rozdano nam zadania. Koordynatorem całości miał być prof. Hryniewiecki. Staniszkis miał zaprojektować główną salę kongresu, Bogusławski z Baumillerem i Gniewiewskim – kawiarnię na zapleczu, Zieliński dekorację zewnętrzną gmachu, my oboje – gabinety prezydium kongresu. Mieliśmy tylko powiedzieć, czego nam potrzeba, a wszystko dostaniemy do dyspozycji. Wszyscy zgodnie stwierdziliśmy, że jedynym rozwiązaniem tego problemu w żądanym terminie, w ówczesnych możliwościach technicznych i organizacyjnych, będzie obicie betonowych ścian sfałdowanymi tkaninami na ruszcie z drewnianych listew. Wysłano nas oboje specjalnym samochodem, wraz z przedstawicielem organizatorów kongresu, do Łodzi.

„Cały łódzki przemysł tekstylny jest do waszej dyspozycji. Zamówcie wszystko, czego wam potrzeba, a oni wam dostarczą” – usłyszeliśmy. Jerzy Staniszkis zażyczył sobie sukna w kolorze *chamois* (beżu) według załączonej próbki, Janek Bogusławski – jakiegoś szlachetnego materiału w kolorze głębokiej czerwieni, my postanowiliśmy zorientować się na miejscu, co najlepiej nada się do kameralnych wnętrz jako tło dla antycznych mebli i obrazów wypożyczonych z Muzeum Narodowego. Po odwiedzeniu trzech czy czterech central przemysłu włókienniczego w Łodzi dowiedzieliśmy się, że wszystko, co mogą dostarczyć, to czerwony i zielony plusz wygniatany w różę – bez róż wyprodukować nie są w stanie – oraz bieliźniane flanelki i płócienko na fartuchy w paski. Z trudem udało nam się przekonać dyrektora od flanelki, że przy tak dużym zamówieniu mogą ufarbować pewną partię według dostarczonej próbki, a tego od pluszu – żeby wyprodukowali go jednak bez wytłoczonych róż. Sami zdecydowaliśmy się na fartuchówkę w wąskie szaro-białe pionowe paski. W rezultacie nasze salki z meblami w stylu empire, obitymi tą fartuchówką, z piękną dekoracją kwiatową wewnątrz, wyszły całkiem niezłe. Gorzej było z wielką salą kongresową. Zamiast sukna lub choćby flanelki w kolorze wielbłądziej sierści z centrali w Łodzi dostarczono 16 tysięcy metrów flanelki w kolorze jajeczniccy! Na szczęście oświetlenie jarzeniówkami i masa podwieszonych do konstrukcji dachu różnokolorowych flag 52 państw, biorących udział w kongresie, zniwelowały tę „jajecznicę”, tak że efekt był

lepszy, niż można było się spodziewać. Bogusławski urządził kawiarnię kongresową obitą czerwonym pluszem z kurpiowskimi koronkami. W ostatnich dniach przed otwarciem kongresu pośpiech był taki, że do domu wpadaliśmy tylko po to, żeby się wykąpać. O spaniu nie było mowy. Byłam tak strasznie zmęczona, że zamiast pójść na uroczyste otwarcie [16 listopada 1950], Maciej musiał mnie pólżywą odwieźć do domu.

Po naszym udziale w urządzaniu wnętrza Światowego Kongresu Pokoju (za co notabene dostaliśmy oboje Srebrne Krzyże Zasługi), a następnie w projekcie wystawy *Wiek Oświecenia w Polsce* w Muzeum Narodowym, znaleźliśmy się na liście Komisariatu ds. Wystaw i Targów, w gronie tych, którym można powierzać takie zadania. Wkrótce potem dostaliśmy zlecenie na projekt dekoracji elewacji i wnętrza holu głównego Politechniki Warszawskiej na I Kongres Nauki Polskiej, następnie wystawy przemysłu Chińskiej Republiki Ludowej w dawnym Domu Handlowym Braci Jabłkowskich [od 1951 Centralny Dom Dziecka]. W 1953 roku Stanisław Lorentz powierzył nam zaprojektowanie ekspozycji kilku sal wielkiej wystawy *Odrodzenie w Polsce* w Muzeum Narodowym w Warszawie.

Wszystko to było czymś zupełnie innym niż praca, którą wykonywaliśmy w Miastoprojekcie. Umożliwiało kontakt z nowymi ludźmi i nowymi problemami. Pozwalało na wyżycie się plastyczne, dawało satysfakcję natychmiastowego efektu, poza tym było znaczącym dodatkiem do rodzinnego budżetu, gdyż wynagrodzenie określane na zasadzie każdorazowo zawieranej, indywidualnej umowy liczyło się według cennika sztuk plastycznych, o wiele korzystniejszego od fatalnych norm, ustalonych w godzinach dla biur projektów. Toteż chętnie przyjmowaliśmy zlecenia na takie prace, choć wymagały ogromnego wysiłku. Nie mogły kolidować z pracą etatową, wykonywaliśmy je więc w domu, „po godzinach”, głównie nocami, bo niedziele chcieliśmy całkowicie poświęcić rodzinie.

JELONKI

W połowie 1951 roku otrzymaliśmy jako Miastoprojekt zadanie specjalne – opracowanie w szczególnym trybie, jako „ściśle tajne” i w terminie zaledwie dwóch tygodni, projektu urbanistycznego osiedla o powierzchni około trzydziestu hektarów na warszawskich

Jelonkach (wtedy to były dalekie peryferie miasta). Jak się później okazało, było ono przeznaczone dla około dwóch tysięcy (licząc rodziny) budowniczych „daru narodu radzieckiego dla bratniego narodu polskiego” – Pałacu Kultury i Nauki. W apogeum budowy PKiN mieszkało tam podobno około 4600 osób.

Program osiedla przewidywał całkowitą jego samowystarczalność nie tylko pod względem mieszkaniowym, lecz także ogólnobytowym – jadalnia z zapleczem kuchennym, łaźnia, ośrodek kultury, boisko sportowe, szkoła i kino. Wraz z podkładami geodezyjnymi i danymi technicznymi otrzymaliśmy katalog budynków, które miały stanąć na tym osiedlu, a które – drewniane, parterowe – zostaną dostarczone z ZSRR.

Pracowaliśmy nad tym projektem dniami i nocami w niedostępnym dla obcych, plombowanym lokalu. Gotowy projekt został dostarczony zleceniodawcy w największej tajemnicy, nocą, specjalnym transportem. Potem okazało się, że na budowę przysłano zupełnie inne budynki niż te zaprojektowane, ale na to nie mieliśmy już wpływu.

W 1955 roku, po ukończeniu budowy PKiN, osiedle zostało przejęte przez Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego i przemianowane na Osiedle Przyjaźń. Zamieszkało w nim około trzech tysięcy studentów i pracowników warszawskich uczelni.

„MIESZKANIÓWKA”

Już w ciągu dwóch pierwszych powojennych lat liczba mieszkańców Warszawy wzrosła do 539 tysięcy i nadal w gwałtownym tempie się zwiększała (w 1957 roku przekroczyła milion). Przybywało izb w wyremontowanych kamienicach. Powstały dwie kolonie „domków fińskich” dla pracowników BOS. Rozbudowywano przedwojenne osiedla na Żoliborzu i Kole. Było to jednak o wiele za mało wobec ogromnych i wciąż narastających potrzeb. Konieczne było zapewnienie mieszkań dla działaczy politycznych i społecznych tworzących aparat władzy i administracji państwowej oraz komunalnej, dla fachowców niezbędnych do odbudowy Warszawy, a także do uruchomienia zakładów przemysłowych jako czynnika miastotwórczego. Doraźnie wprowadzono przymusowe dokwaterowywanie do istniejących mieszkań dodatkowych, obcych lokatorów, a zatem

w tym samym mieszkaniu żyły dwie (a nawet trzy) rodziny, które, podobnie jak początkowo u nas na Nieporęckiej, musiały korzystać ze wspólnej kuchni i łazienki, jeżeli taka w ogóle istniała. Przy zakwaterowaniu teoretycznie obowiązywała zasada 7 m² powierzchni użytkowej (pokoi, kuchni, łazienki, przedpokoju – łącznie) na osobę. W praktyce ograniczano ją niekiedy do 5 m² na osobę. Zakładano, że jest to rozwiązanie jedynie na okres przejściowy. Zdawano sobie sprawę, że niezbędne będą późniejsze rozkwaterowania do nowych mieszkań. Widziano również konieczność wydobycia ludzi z najgorszych warunków, z ruin, suterren, slumsów, pozbawionych wody i kanalizacji, z przeznaczonych do likwidacji, bezładnie zabudowanych barakami i skleconymi byle jak budami biedaosiedli, a także rozgęszczenia mieszkań najbardziej przeludnionych, a za takie uznano te, w których przypadało mniej niż 5 m² powierzchni użytkowej na osobę.

Ogólnie biorąc, potrzeby w dziedzinie budownictwa mieszkaniowego były bardzo duże w całym kraju. Do ich zaspokojenia konieczni byli inwestorzy, kredyty, tereny, materiały i wykonawstwo budowlane, którymi należało gospodarować możliwie jak najbardziej racjonalnie, przy tym w taki sposób, żeby zapewnić wszystkim mieszkańcom nowo budowanych domów jednakowe, skromne, ale przyzwoite warunki życia.

Pierwszym powojennym ministrem odbudowy został prof. Michał Kaczorowski, wybitny znawca ekonomiki budowlanej, od czasów przedwojennych związany z postępowymi, lewicującymi ruchami społecznymi, m.in. członek Zarządu Polskiego Towarzystwa Reformy Mieszkaniowej i Towarzystwa Osiedli Robotniczych (TOR). Za jego kadencji, we wrześniu 1947, Ministerstwo Odbudowy wydało obowiązującą w całej Polsce instrukcję dotyczącą projektowania mieszkań w nowym budownictwie mieszkaniowym wielorodzinnym, wznoszonym w miastach i realizowanym zarówno ze środków państwowych, jak i spółdzielczych.

Instrukcja ta powstała w wyniku dyskusji m.in. z zarządem reaktywowanego w 1945 roku Polskiego Towarzystwa Reformy Mieszkaniowej, którego prezesem został prof. Kaczorowski, a w którym znaleźli się wybitni przedwojenni działacze TOR: Juliusz Goryński, Marian Nowicki, Anatolia Piotrowska, Szymon Syrkus, Leon Kazimierz Toeplitz i Stanisław Tołwiński. Z większością z nich mieliśmy potem kontakt osobisty – zachowaliśmy ich w pamięci jako

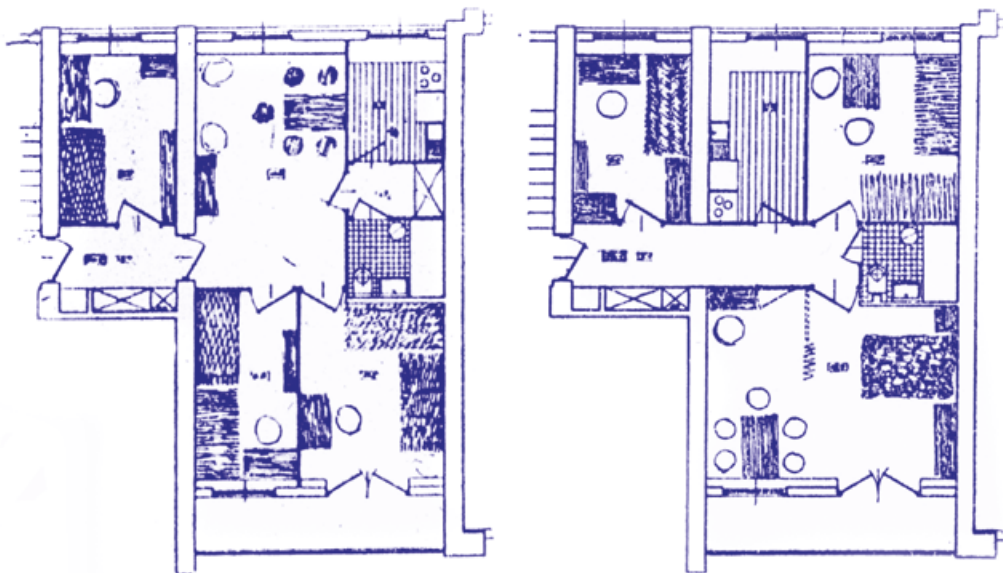
mądrych, bezwzględnie uczciwych i społecznie zaangażowanych. Instrukcja w dużym stopniu oparta została na zasadach wypracowanych przez lewicowych działaczy społecznych i architektów związanych z przedwojenną WSM i działającą w czasie okupacji konspiracyjną PAU. Zawierała następujące zasady:

- budynki mieszkalne mogą być wznoszone jedynie na terenach uzbrojonych w sieć wodociągowo-kanalizacyjną, elektryczność i gaz;
- każdej rodzinie przysługuje odrębne mieszkanie o wielkości i strukturze odpowiadającej liczbie jej członków. Jako podstawę do projektowania mieszkań przyjęto 11 m² powierzchni użytkowej (czyli ok. 7 m² powierzchni mieszkalnej) na osobę, z tym że w przyszłości, kiedy sytuacja mieszkaniowa poprawi się, wskaźnik ten zostanie powiększony przez rozgęszczenie.

Za podstawowe rodzaje mieszkań, które miały być masowo budowane, uznano te o powierzchniach 22,5 m², 41 m² i 56 m², z tym że dopuszczalne były różnice powierzchni nieprzekraczające dziesięciu procent.

Zasady te były realizowane w pierwszych powojennych warszawskich osiedlach WSM i TOR oraz w budynkach wznoszonych przez wielkie zakłady przemysłowe dla swoich załóg. Jednak już w 1948 roku spółdzielczość mieszkaniową zlikwidowano i postanowiono, że nowe budownictwo mieszkaniowe typu miejskiego ma być finansowane całkowicie ze środków państwowych, a jedynym inwestorem będą specjalnie wtedy powołane Dyrekcje Osiedli Robotniczych (DOR). Jedynym właścicielem, dysponentem i administratorem zasobów mieszkaniowych mają być właściwe dla danej inwestycji rady narodowe, które następnie będą je przydzielać przyszłym lokatorom bezpłatnie, przy bardzo niskim miesięcznym czynszu, nieprzekraczającym w zasadzie dziesięciu procent przeciętnego wynagrodzenia. Instrukcję z 1947 roku zastąpiły w 1951 roku wytyczne opracowane przez TOR, ZOR i Instytut Budownictwa Mieszkaniowego (IBM).

Projektantów, inwestorów, władze zatwierdzające niższych szczebli, a także władze kwaterunkowe obowiązywało rygorystyczne przestrzeganie tego normatywu. Zakładano, że normatyw ten będzie potem częściowo zmieniony, ale zasada 11 m² powierzchni



Szkice ukazujące różne sposoby aranżacji takiego samego, trzypokojowego, mieszkania na osiedlach bielańskich, „Architektura” 1958, nr 7/129

użytkowej na osobę, jako obowiązująca przy projektowaniu i przydziale mieszkań, zostanie utrzymana. Zgodnie z deklarowaną zasadą sprawiedliwości społecznej teoretycznie każdemu obywatelowi miała przysługiwać taka sama powierzchnia użytkowa, bez względu na jego możliwości finansowe, pozycję społeczną, wykonywany zawód czy indywidualne potrzeby. Jedynie pracujący w domu artyści i ludzie nauki mogli się ubiegać o prawo do większej powierzchni w formie dodatkowego pokoju. W praktyce ograniczenia kwaterunkowe nie dotyczyły „osób szczególnie ważnych dla gospodarki narodowej”, tj. działaczy partyjnych i państwowych wyższego szczebla.

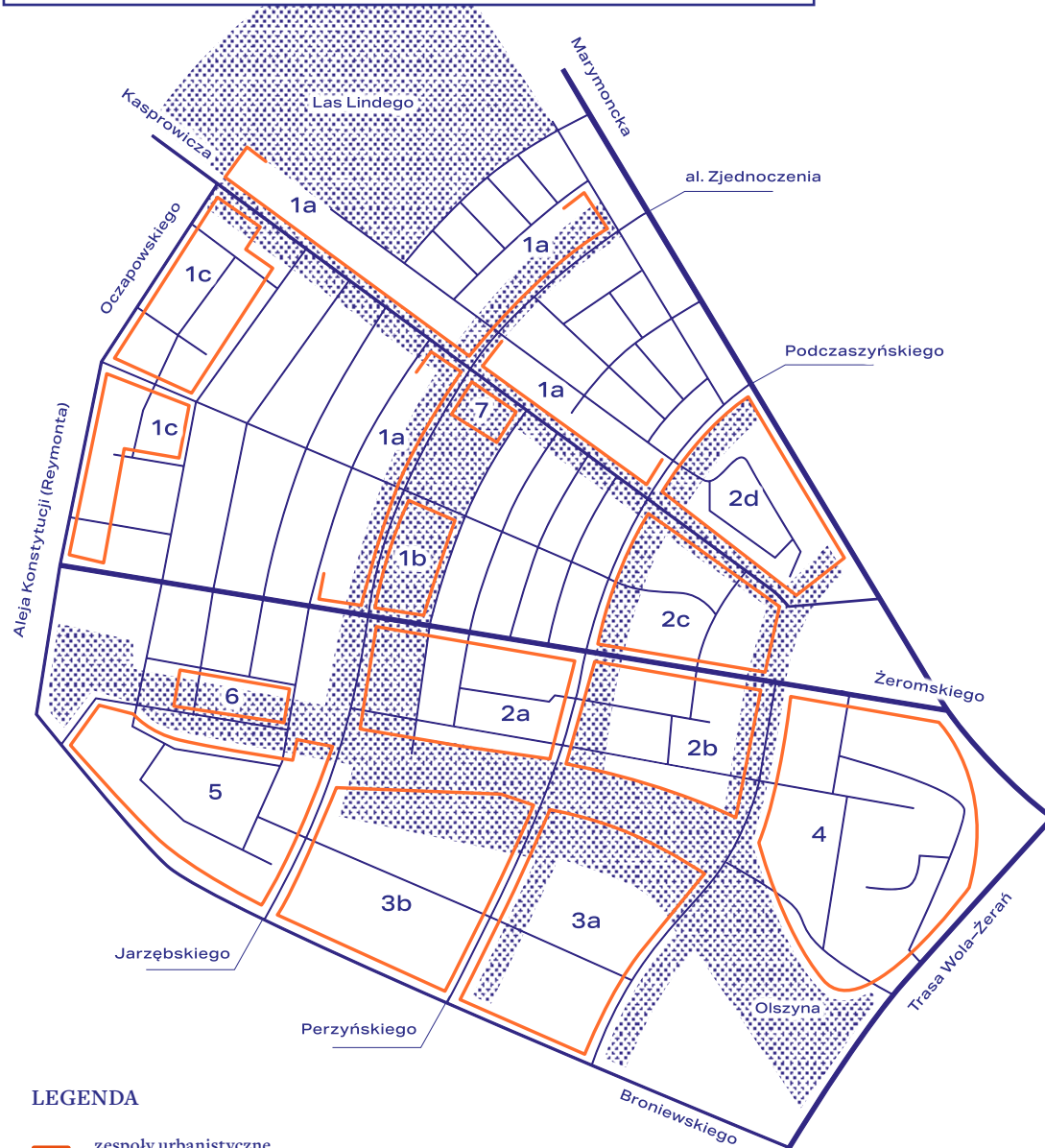
Na podstawie badań i prognoz demograficznych postanowiono, że w nowym budownictwie w Warszawie mają przeważać mieszkania „społecznie najpotrzebniejsze”, czyli „rozwojowe” typu pokój z kuchnią (PK) o powierzchni ok. 30 m² przeznaczone dla dwóch–trzech osób (w domyśle – młodych małżeństw z jednym dzieckiem lub spodziewających się dziecka), oraz niewiele większe, typu dwa pokoje z kuchnią (2PK), przeznaczone dla rodzin

cztero-, pięcioosobowych, a jedynie około dwudziestu procent to będą mieszkania najmniejsze (typu P), z sanitariatami wspólnymi dla kilku mieszkań, oraz trzypokojowe (3PK) dla rodzin sześć-, siedmioosobowych.

Za optymalne ze względów ekonomicznych i użytkowych uznano niewymagające wyposażenia w dźwigi osobowe budynki o wysokości czterech kondygnacji. Aby zapewnić dopływ światła słonecznego do wszystkich mieszkań, odległość między równoległe do siebie usytuowanymi budynkami nie mogła być mniejsza niż ich dwukrotna wysokość (w latach 60. wprowadzono tzw. linijkę słońca, której zastosowanie pozwoliło na bardzo precyzyjne wyznaczenie zakresu cienia rzucanego przez budynki na siebie nawzajem i możliwe w konkretnych przypadkach zmniejszenie tej odległości).

Ogromna przewaga mieszkań jedno- i dwupokojowych powodowała, że dominującą formą zabudowy stały się budynki cztero-kondygnacyjne, składające się z kilku powtarzalnych sekcji, w których na jednej kondygnacji z klatki schodowej dostępne były jedynie dwa lub trzy niewielkie mieszkania. Spełnienie warunku zapewnienia wszystkim pomieszczeniom, a więc zarówno pokojom, jak i kuchniom, bezpośredniego oświetlenia dziennego oknem w ścianie zewnętrznej było możliwe jedynie w budynkach o „płytkim trakcie”, to znaczy wąskich, a więc całkowicie nieekonomicznych. Trzeba przy tym pamiętać, że lokale trzyosobowe miały stanowić około czterdziestu procent wszystkich budowanych mieszkań, był to więc problem o bardzo dużej skali! Nasiliły się naciski na inwestorów ze strony władz miejskich na zwiększenie intensywności zabudowy, m.in. przez stawianie budynków o dużej szerokości. Jednocześnie do projektantów i władz architektonicznych zaczęły napływać liczne podania mieszkańców lokali typu PK zwracających się o wyrażenie zgody na przeniesienie urządzeń do przygotowywania posiłków do przedpokoju, aby umożliwić wykorzystanie pomieszczenia dotychczasowej kuchni jako drugiego pokoju dla dorastającego dziecka albo zamieszkujących z małżeństwem rodziców. W ramach Sekcji Budownictwa Osiedlowego SARP w dyskusjach z inwestorami i powołanym w 1951 roku IBM zaczęliśmy rozważać sposób rozwiązania tego problemu. O zwiększaniu powierzchni mieszkań tego typu ponad określoną w normatywie nie mogło być mowy. Na dalsze „spłylenie” budynków nie pozwalały względy ekonomiczne ani obowiązujące wskaźniki wykorzystania terenu.

SCHEMAT PLANU ZAGOSPODAROWANIA BIELAN, LATA 50.–60.



LEGENDA

- zespoły urbanistyczne
- parki, tereny zielone, rekreacyjne, szkoły, przedszkola

- | | |
|--|---|
| <p>1. BIELANY I
1a – ul. Kasprowicza / al. Zjednoczenia
1b – wydzielony zespół szkolny
1c – Zespół Skalbmierska</p> <p>2. BIELANY II
2a – Blok I
2b – Blok II
2c – Blok III / Serek Jasnorzewskiej
2d – Blok IV / Serek Leśmiana</p> | <p>3. BIELANY III
3a – osiedle Magiera, część wschodnia
3b – osiedle Magiera, część zachodnia</p> <p>4. SŁODOWIEC (Przedwiośnie)
5. OSIEDLE ZJEDNOCZENIA
6. WSPÓLNOTA
7. DOM KULTURY / KINO</p> |
|--|---|

Opracowanie: Michał Piechotka

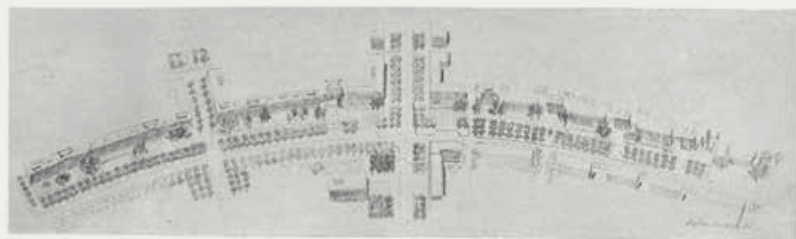
Jedynym możliwym wyjściem z sytuacji była budowa mieszkań dla rodzin trzyosobowych jako dwupokojowych z malutką kuchenką typu laboratoryjnego, oświetloną pośrednio poprzez jeden z pokoi. Umożliwiłoby to również stosowanie o wiele bardziej ekonomicznych budynków korytarzowych.

Szybkie i sprawne wykonanie projektu osiedla na Jelonkach, pozytywnie ocenionego przez przyszłych użytkowników, spowodowało, że jesienią 1951 Stołeczna Dyrekcja Osiedli Robotniczych powierzyła nam opracowanie kompleksowego, urbanistyczno-architektonicznego projektu rozbudowy osiedla na warszawskich Bielanych. Był to, jak się później okazało, początek wielkiej, życiowej przygody. Przez następnych trzydzieści lat główną dziedziną naszej pracy zawodowej i działalności społecznej stało się budownictwo mieszkaniowe Warszawy, a później nie tylko Warszawy.

Zadanie, które wtedy przed nami stało, było tak duże, że zostaliśmy wyłączeni z pracowni Rutkowskiego. Powstała nasza własna pracownia (PW 3 Północ), której zostałam kierownikiem, a Maciej dostał nominację na generalnego projektanta Bielani. Wkrótce pracownia rozrosła się do kilkunastu osób – czterech architektów, pięciu techników, czterech pomocników technicznych oraz trzech inżynierów konstruktorów. W zakresie projektów układu komunikacyjnego, zieleni, sieci instalacji wodno-kanalizacyjnych, gazowych i elektrycznych, a także kosztorysów, korzystaliśmy z pracowni branżowych, działających dla całego biura.

BIELANY I – ETAP I

Osiedle bielańskie położone było na ówczesnych peryferiach Warszawy, na północny zachód od Żoliborza, w rozwidleniu prowadzącej w kierunku Modlina szosy Marymonckiej i ulicy Żeromskiego biegnącej wzdłuż powstałego jeszcze za czasów carskich poligonu wojskowego, przez wieś Wawrzyszew do Puszczy Kampinoskiej. Teren ten został włączony do Warszawy w 1916 roku z przeznaczeniem na budownictwo mieszkaniowe, a w latach 1920–1925 częściowo rozparcelowany. Wówczas, wykorzystując jego charakterystyczny kształt i usytuowanie, wytyczono na nim – podobnie jak na Żoliborzu i w kilku innych, przeznaczonych wówczas pod zabudowę lokalizacjach przedmiejskich – gęstą sieć ulic i uliczek



Aleja Zjednoczenia przypomina, w swym ogólnym charakterze, imię mające założenia antycznych stierców rzymskich gimnazjów, stabilność i form, otoczonych zieloną, a prowadzącymi do nich szklanymi ulicami. Po ukończeniu aleja stanie się odcinkiem nowej Warszawy.

Aleja Zjednoczenia



Aleja Zjednoczenia na odcinku między ulicami Kasprowicza i Marymoncką, w głębi po prawej siedziba Jednostki Ratowniczo-Gaśniczej nr 6, lipiec 1955.

Fot. Aleksander Leszczyński/Bieleńska Fototeka



Projekt Alei Zjednoczenia, która miała być najbardziej zieloną ulicą Bielania. „Stolica” 1955, nr 3

o wachlarzowo-promienistym układzie. Cisza, spokój, czyste powietrze i sąsiedztwo Lasu Bielańskiego, wraz z niską ceną działek, spowodowały, że już przed II wojną światową rozwijało się na tym terenie budownictwo jednorodzinne o dość skromnym, ale przyzwoitym standardzie, realizowane zarówno przez spółdzielnie, takie jak Zdobycz Robotnicza, jak i indywidualnie.

Do 1939 roku większość małych działek przy bocznych uliczkach była już zabudowana domkami szeregowymi i bliźniaczymi, rzadziej wolno stojącymi willami. Natomiast chętnych na zakup położonych przy głównych ulicach, większych i droższych parcel, przeznaczonych pod zwartą, czterokondygnacyjną zabudowę wielomieszkaniową, było niewielu. Najwięcej takich „kamienic z mieszkaniami na wynajem”, niekiedy ze sklepami na parterze, powstało wzdłuż południowej pierzei ulicy Marymonckiej po wybudowaniu linii tramwajowej, wzdłuż zachodniej pierzei Podczaszyńskiego i przy Żeromskiego. Pozostałe – w tym aleja Zjednoczenia i ulica Kasprowicza, główne, szerokie, będące szkieletem kompozycji urbanistycznej zespołu, krzyżujące się w jego centrum – były zabudowane w bardzo małym stopniu. Poza szkołą i kilkoma niewielkimi sklepami wzdłuż Marymonckiej nie było niczego, co mogłoby zaspokajać codzienne potrzeby mieszkańców w zakresie oświaty, wychowania, zdrowia, kultury i sportu.

Wojna oszczędziła Bielany w porównaniu z resztą Warszawy. Zniszczenia były niewielkie i zostały wkrótce zlikwidowane. Żadne istotne zmiany nie nastąpiły aż do początku lat 50., kiedy podjęto decyzję o budowie Huty Warszawa na sąsiednim terenie. Nowo powstający wielki zakład przemysłowy potrzebował mieszkań dla swojej kilkunastotysięcznej załogi, którą w większości trzeba było sprowadzić spoza Warszawy, głównie ze Śląska. Postanowiono wykorzystać na ten cel niezabudowane, a uzbrojone tereny na Bielaniech. Sprawę oddano w ręce Stołecznej Dyrekcji Osiedli Robotniczych.

Projektantem urbanistyki został inż. Stefan Zieliński. Najpierw wzniesiono kilka indywidualnie zaprojektowanych przez różnych architektów, wielorodzinnych budynków plombowych, wypełniających luki w ciągłej zabudowie ulic Marymonckiej i Podczaszyńskiego oraz jeden przy Lisowskiej (w którym potem dostaliśmy mieszkanie), a następnie nieco większy zespół, złożony z kilku budynków typowych z katalogu ZOR, pomiędzy ulicami: Żeromskiego – Przybyszewskiego – Schroegera – aleja Konstytucji (obecnie Reymonta).

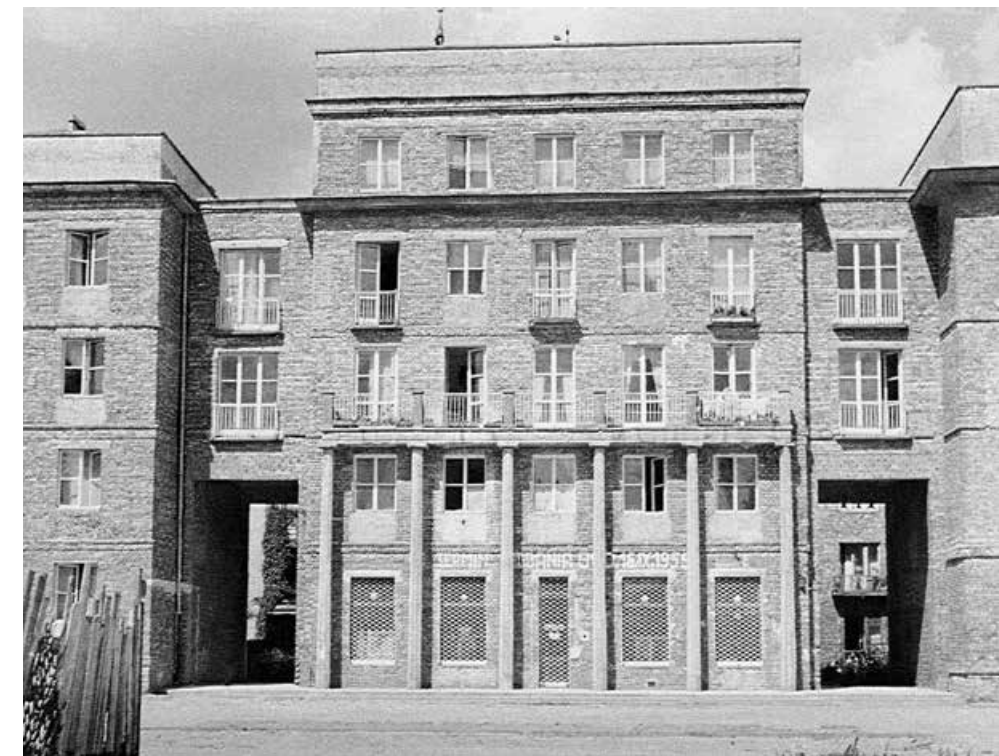


Aleja Zjednoczenia na odcinku między ulicami Żeromskiego i Kasprowicza, ok. 1956. Fot. Zbyszko Siemaszko/NAC



Zabudowa wzdłuż ulicy Kasprowicza pomiędzy Laskiem Lindego a aleją Zjednoczenia, 1956. Fot. Aleksander Leszczyński/Bielńska Fototeka

Budynek przy ulicy Kasprowicza na odcinku pomiędzy aleją Zjednoczenia a ulicą Podczaszyńskiego, 1956. Fot. Aleksander Leszczyński/Bielńska Fototeka



Były to jednak działania doraźne. Inwestor dopiero przygotowywał założenia programowe dla Bielania jako całości. Inżynier Zieliński był ciężko chory i nie doczekawszy ich ukończenia, zmarł w 1951 roku. Wówczas na stanowisko generalnego projektanta Bielania zdecydowano mianować Macieja, a naszej pracowni powierzyć opracowanie kompleksowego projektu urbanistyczno-architektonicznego.

Założenia, jakie otrzymaliśmy od inwestora, przewidywały zaprojektowanie na Bielaniach czterokondygnacyjnych budynków wielorodzinnych z mieszkaniami dla dwudziestu tysięcy ludzi oraz budynków socjalno-usługowych, służących zaspokojeniu potrzeb trzydziestu tysięcy – liczono bowiem także dotychczasowych dziesięć tysięcy mieszkańców. Miały to być dwie szkoły, pięć przedszkoli, dwie przychodnie zdrowia, dwie apteki, dom kultury z kinem, ośrodek sportowy, sześć tzw. lokali żywienia zbiorowego, 56 sklepów różnych branż, 31 warsztatów rzemieślniczych. Wszystko to należało zaprojektować przy jednoczesnym zachowaniu niemal w stu procentach istniejącego układu ulic i dotychczasowej zabudowy.

Mieliśmy więc do wykonania kompleksowy, wielobranżowy projekt urbanistyczny całego zespołu bielańskiego (potem dla odróżnienia od następnych osiedli bielańskich będzie się nazywał Bielany I lub Stare Bielany), a następnie projekty architektoniczno-budowlane wszystkich nowo wznoszonych budynków.

Gdy przystępowaliśmy w 1951 roku do tej pracy, w ogólnym odczuciu Bielania były gdzieś daleko; jadąc do centrum albo nawet na Żoliborz, mówiło się, i niektórzy mówią do dziś: „Jadę do miasta”. W tym czasie przy zbiegu ulic Marymonckiej i Żeromskiego znajdował się dworzec PKS Marymont, z którego kursowały autobusy w kierunku Puszczy Kampinoskiej. Tereny zabudowy były ograniczone ulicami: od północnego wschodu Marymoncką (droga wylotowa w kierunku Modlina), po której jeździły tramwaje do AWF i Młocin, od wschodu Podczaszyńskiego, południową granicę stanowiła wybrukowana „kocimi łbami” ulica Żeromskiego, od zachodu granicę wyznaczała aleja Konstytucji (obecnie Reymonta i Oczapowskiego), a od północnego zachodu – tzw. Mały Lasek (Lindego). Po południowej stronie ulicy Żeromskiego, aż do jednostki wojskowej przy Daniłowskiego i za niewielkim zespołem zabudowy pomiędzy ulicami Daniłowskiego, Szepietowską i Przybyszewskiego, ciągnęły się pola dawnego poligonu. W kierunku zachodnim,

wzdłuż Wólczyńskiej, skupiały się zabudowania wsi Wawrzyszew, od północnego zachodu, za terenami dawnego lotniska, rozpoczęto budowę Huty Warszawa, leżący po stronie wschodniej teren późniejszego „serka” (trójkąt pomiędzy ulicami Marymoncką, Żeromskiego i Podczaszyńskiego) był niezabudowanym polem.

Większość ulic była wybrukowana „kocimi łbami” i oświetlona latarniami gazowymi. Z tego, co pamiętam, na „naszych” Bielaniach były wtedy dwie apteki, sklepy spożywcze przy ulicach Żeromskiego, Schroegera, Marymonckiej, Hajoty i przy alei Zjednoczenia, prywatniak przy Lisowskiej, obok – też w garażu – magiel. Była też prywatna wytwórnia wody sodowej przy Lipińskiej. Poczta mieściła się przy placu Konfederacji, tam działał również fryzjer. Przedszkola były w AWF i przy Cegłowskiej, szkoły przy Zuga i przy Marymonckiej. Kościół mieścił się w baraku przy placu Konfederacji. Najbliższa przychodnia zdrowia była na Żoliborzu. Kina nie było, należało jechać „do miasta”, najbliższej do Tęczy na Suzina. Inne rozrywki to był Park Kultury w Lesie Bielańskim, z karuzelą i „dechami”, czyli parkietem do tańca (o tej karuzeli śpiewała Maria Koterbska).

Pierwszym tematem naszej pracy miał być plan urbanistyczny osiedla uwzględniający jego przewidywane – zgodne z obowiązującymi nas, ściśle określonymi założeniami techniczno-ekonomicznymi – uzupełnienia zabudowy dwóch głównych ulic: północnej strony ulicy Kasprowicza i północno-zachodniej pierzei biegnącej szerokim łukiem alei Zjednoczenia.

Już w intencji pierwszych przedwojennych projektantów układ urbanistyczny Bielania opierał się na głównych, reprezentacyjnych ulicach, które teraz powstawały w czasie pełnego panowania socrealizmu. Innej formy ich zabudowy niż „socjalistyczna w treści, narodowa w formie” nie zatwierdziłaby wówczas żadna komisja urbanistyczno-architektoniczna.

„Socjalistyczną treść” zapewniały założenia programowe inwestora, normatywy urbanistyczne i mieszkaniowe oraz ograniczenia ekonomiczne. One to, wraz z przepisami budowlanymi i przeciwpożarowymi oraz wymaganiami obrony terytorialnej (należało zaprojektować usytuowanie i przebieg ewentualnych rowów przeciwlotniczych, wieżyczek strażniczych, prześwitów w zwartej zabudowie umożliwiających szybką ewakuację oraz przewiew w przypadku ataku gazowego i fali powietrznej przy bombardowaniu), w dużym

stopniu zawężyły projektantom pole manewru. Trzeba też pamiętać o bardzo ograniczonych możliwościach zacofanego technicznie, fatalnego wykonawstwa budowlanego.

Natomiast jeżeli chodzi o formę, to uważaliśmy, że powinna być możliwie skromna, że najistotniejsza jest skala i proporcje budynków, a „narodowość” najbezpieczniej będzie uzyskać przez zastosowanie detalu nawiązującego do warszawskiego klasycyzmu.

Zgodnie z założeniami i wytycznymi Planu Generalnego Warszawy jako podstawową przyjęto zabudowę mieszkaniową wielorodzinną bez dźwigów osobowych – wzdłuż ulicy Kasprowicza pięciokondygnacyjną ze sklepami w parterze, wzdłuż alei Zjednoczenia czterokondygnacyjną, wyłącznie mieszkalną. Wyjątek stanowił wówczas budynek dziewięciokondygnacyjny z małymi, dwu-, trzyosobowymi mieszkaniami. Na jego szczycie, zgodnie z wymaganiami obrony terytorialnej (TOP1 – Terenowa Obrona Przeciwlotnicza), znalazła się wieżyczka obserwacyjna.

Jesienią 1952, kiedy plan ogólny urbanistyki Bielania I w skali 1:1000, wraz z rozwinięciami ulic, był na ukończeniu, dostaliśmy polecenie opracowania go szczególnie starannie, w wielobarwnej formie graficznej na sztywnych planszach, ponieważ ma być przedstawiony, wraz z innymi projektami inwestycji warszawskich, najważniejszej osobie w państwie: prezydentowi Bolesławowi Bierutowi, przywódcy wszechwładnej monopartii PZPR. Wkrótce potem wraz z głównymi projektantami kilkunastu większych warszawskich zamierzeń inwestycyjnych otrzymaliśmy polecenie zjawienia się po jednej osobie z każdego zespołu autorskiego określonego dnia o godzinie 11.00 w gmachu Urzędu Rady Ministrów w Alejach Ujazdowskich. Maciej był jednym z nich. Oddaję mu głos:

Wpuszczono nas do sali całkowicie pozbawionej krzeseł. Oprócz autorów projektów znajdowali się tam: prezes Komitetu do spraw Urbanistyki i Architektury prof. Zygmunt Skibniewski; wiceminister, już nie pamiętam nazwiska, budownictwa i przemysłu materiałów budowlanych; ktoś z Ministerstwa Gospodarki Komunalnej; do tego wiceprzewodniczący Prezydium Rady Narodowej m.st. Warszawy Zygmunt Dworakowski; naczelny architekt Warszawy – Józef Sigalin i jego zastępca Jan Klewin; dyrektor Stołecznej Dyrekcji Osiedli Robotniczych Witold Rogala. Wszyscy, na stojąco lub kucając pod ścianami, czekaliśmy kilka godzin. Bierut

pojawił się wieczorem w towarzystwie premiera Cyrankiewicza i paru osób z Prezydium Rady Ministrów. Usiadł na jedynym znajdującym się w sali fotelu. Wszyscy poza tym – nawet Cyrankiewicz – stali. Nie wolno było palić. Cyrankiewicz wychodził na papierosa do sąsiedniego pomieszczenia. Referentem był Józef Sigalin, poszczególne projektanci przedstawiali swoje projekty. Przy mojej prezentacji Bielania Bierut zadał kilka sensownych pytań: o układ komunikacyjny, o rozmieszczenie usług handlowych, szkół, przedszkoli. Widoczna była jego znajomość problematyki osiedlowej jeszcze z WSM. Powołując się na kłopoty komunikacyjne na MDM, wyraził przestrożę, żeby nie powtórzyć tych samych błędów. „Zobaczymy, jak to będzie”. Na zakończenie przyjął projekt do wiadomości, co zostało zaprotokołowane. Po przedstawieniu wszystkich prac Bierut i Cyrankiewicz wyszli z sali.

Projekty budynków przy alei Zjednoczenia zostały po dyskusji zaakceptowane przez Komitet do spraw Architektury i Urbanistyki (KUA) przy naczelnym architekcie Warszawy. Stwierdzono, że są wprawdzie skromne, ale to dalekie przedmieście, można je więc puścić z pewnymi zaleceniami (notatki protokolarne z posiedzeń zachowały się w naszych papierach):

- potraktować górne portale łączników jako elementy rzeźbiarsko-malarskie o różnorodnej barwnej fakturze z dopuszczeniem okien nietypowych;
- na zwyczajach piątej kondygnacji należy zastosować attyki;
- zamiast balkonów na pierwszym piętrze budynków zastosować portfenetry;
- dziedzińce między budynkami należy rozwiązywać indywidualnie z ewentualnym użyciem drobnej architektury i elementów rzeźbiarskich;
- zrewidować stosunek pracowni do balkonów i portfenetrów w kierunku szerszego ich stosowania. W przypadkach uzasadnionych dopuszcza się wprowadzenie balkonów lub portfenetrów do otworów kuchennych przy jednoczesnym ustawieniu szafki spiżarniowej szczytem do murów zewnętrznych.



Budowa bloków osiedla Bielany I przy ulicy Kasprowicza, ok. 1955.
Fot. Zbyszko Siemaszko/NAC

Wszystko to miało nadać właściwą rangę i charakter, zwłaszcza ulicy Kasprowicza, ze względu na jej rolę jako arterii prowadzącej do Huty Warszawa, będącej „sztandarowym”, największym zakładem przemysłowym „socjalistycznej” Warszawy. Nawiasem mówiąc, wszystkie te budynki czekały najbliższe dwadzieścia lat na zwyczajne otynkowanie.

W 1953 roku, kiedy zabudowa północno-zachodniej pierzei alei Zjednoczenia była już na ukończeniu i zaczynała się realizacja budynków wzdłuż Kasprowicza, pojawiło się hasło „uprzemysłowienia budownictwa”. Pisemnym poleceniem ówczesnego wiceministra budownictwa Aleksandra Wolskiego zostaliśmy zmuszeni do zastosowania tam po raz pierwszy stropów prefabrykowanych w formie wielkometryrowych płyt betonowych, tzw. rusztowych, wypełnionych gazobetonem. Do ich zamontowania konieczne było wykorzystanie ciężkiego sprzętu – żurawi jeżdżących po torach. Zrobił się duży szum propagandowy. Uprzemysłowienie pierwszego stopnia, skok techniczny! „Wielka budowa socjalizmu!” Krajobraz budowy z dźwigami w prasie i kronice filmowej. Wszystko było dobrze, dopóki ludzie tam nie zamieszkali. Komuś kawał gazobetonu wpadł do garnka z gotującym się rosółem. Zrobiła się awantura, poszukiwanie winnego! Kto za to odpowiada? Kontrolerzy przyszli do nas. Pokazaliśmy pismo ministra z jego własnoręcznym podpisem. Potem już była cisza, tylko wzdłuż całej długiej ulicy wzmocniono stropy.

Mieszkania na Bielanych I zostały zaprojektowane i oddane do użytku w latach 1952–1955. Ich wielkość i rozwiązania funkcjonalne, tak jak wielu innych budowanych wtedy nie tylko w Warszawie, były zgodne z obowiązującym w całej Polsce, wspomnianym normatywem opartym, podobnie jak poprzedzająca go instrukcja z 1947 roku, na zasadach egalitaryzmu społecznego i tradycji WSM, której członkowie należeli do średnio zamożnej inteligencji, a także przedstawicieli „uświadomionej społecznie i kulturalnie wielkomiejskiej klasy średniej”. Tymczasem właśnie w tych latach nastąpił masowy napływ ludności wiejskiej do dużych miast w poszukiwaniu pracy w przemyśle. Duża jej część dostawała mieszkania w nowym budownictwie. Wiązało się to z gwałtowną zmianą dotychczasowego stylu życia, tradycji i nawyków. Nie wszyscy potrafili się szybko oswoić z nowymi warunkami. Zdarzały się przypadki dewastacji na skutek nieumiejętnego obchodzenia się z urządzeniami sanitarnymi, zapychanie przewodów kanalizacyjnych, a nawet hodowanie